

Spieprzaj dziadu

24 grudnia 2007

W zasadzie był pewny swego. Prawidłowo się prowadził. Po chrześcijańsku bzykał żonę, nawet spłodził potomka. Do kościoła, na dzielnicę gdzie żył uczęszczał regularnie. Był pewny swego. Dobrze trafił. Jednak nerwowo szczypał rąbek swej niedopiętej marynarki a wzrok niepewnie spuścił na czubki swoich butów. Jednak zrobił to tylko na ułamek sekundy bo widok był ohydny. Lepszych jednak nie zdążył wzuć. Sprawa była niecierpiąca zwłoki.

Wstał z ławki gdzie siedział by sięgnąć kołatki i zastukać do bramy której nikt mu nie otwierał. Zrezygnowany spojrzał w górę i spróbował sięgnąć ręką do tego staroświeckiego urządzenia przywoławczego. Nie sięgał. Wspiął się na palce. Bez powodzenia. Kołatka była zbyt wysoko.

– Żesz kuchwa – zaseplenił i rozejrzał się dookoła czy aby nikt nie usłyszał.

Spojrzał na zegarek. Minęła godzina. Nie przywykł do takiego traktowania. Był przecież kimś. I to, że nie żył od kilku godzin nie powinno mieć jego zdaniem żadnego znaczenia. Nerwowo rozejrzał się. Nie było nikogo w pobliżu, kto usłudze przyznałby mu rację. Nawet kota.

Podrapał się po swojej głowie. Nie mógł po innej, bo był sam.

– To nawet logiczne – powiedział w myślach i ucieszył się. Lubił tę swoją logikę. Nigdy go nie zawiodła.

Krótko po tych rozważaniach wpadł na pomysł. Te pomysły też lubił. Jego współpracownicy zawsze twierdzili, że są świetne. Ci co mieli inne zdanie szybko przestawali być jego współpracownikami. To też było logiczne. Znów się uśmiechnął i ucieszył jednocześnie. Tak, tak. Potrafił jednocześnie robić wiele rzeczy. Jak Napoleon.

Kopnął delikatnie w bramę. Niby przypadkiem. Odpowiedziało mu puste echo. Kopnął raz jeszcze. I jeszcze raz. Nic. Zero reakcji. Zazgrzytał lekko nadpsutymi zębami. Nic. Nawet nie zgrzytały.

– Tu może panują inne prawa fizyki. Gdyby był tu Kazik – gadał do siebie, dokładnie analizując każde słowo. Słowa układały mu się w logiczną całość. Mimo wszystko lekko wykrzywił twarz w grymasie, którą wprawny psychoanalityk mógłby wziąć za uśmiech.

Wrota zaskrzypiały. Lekko nerwowo odskoczył w tył. W drzwiach stanął stary człowiek. Dziad można by powiedzieć. Tylko lepiej od przeciętnego dziada ubrany.

– Czego tu? Spieprzaj dziadu. Porządnych towarzyszy z samego rana niepokoić? – odźwierny był lekko wkurwiony.

– Jak ty do mnie dziadu jeden? Jestem bratem mojego brata. Premierem czy prezydentem ... – wybełkotał po dłuższej chwili. Nie był pewny którym bratem jest – tak go wkurwił dziad w bramie.

– I jakich towarzyszy? Tutaj pisze. Napis jest NIEB0. Tak?

– No jest napis. I są towarzysze – odźwierny był zniecierpliwiony.

– Towarzysze w niebie? – premier albo prezydent zdradzał objawy nielichego zdenerwowania.

– Mamy tu taką komunę jełopie. Od samego początku. A teraz paszoł won. I nie kopać w bramę bo ci dupę skopiemy z Gabrielem.

– Janowskim? – premier albo prezydent zgłupiał. Nie zdążył bardziej bo starzec tak jak się pojawił tak szybko zniknął.

Nie miał jednak zbyt wiele czasu na rozmyślanie bo nie był już sam. U jego boku stał Rokita.

Wszelkie podobieństwo do autentycznych postaci i zdarzeń
zapewne przypadkowe.

Autor: Maurycy Grosseman

Źródło: [Alternatywa](#)